

Koszmar w „Kaszmirze”

Mój dziadek – **hreczkosiej** z podwielicckich Trąbek – raz w roku około Wniebowzięcia opuszczał swą chudobę. Ruszał naówczas do Kalwarii Zebrzydowskiej i przemierzał maryjne dróżki. Od mego ojca żądał posłuchu, każąc mu żyć po bożemu i broń Boże! po próżnicy nie szwendać się po świecie. Tak go **zahukał**, że nieszczęśnik nie ważył się dźwigać swych przewin dalej niż do Wieliczki. Tu rokrocznie w czas odpustu „**Porcjunkuli**” chwalebnie się z nimi rozstawał, by móc z czystym sumieniem grzeszyć od nowa. Nie dziw, że gen obieżyświata w naszym rodzie **sczeźł**. Nie nużyło mnie więc bezustanne niemalże tkwienie w archiwum Zamku Żupnego. Koledzy co i rusz gdzieś jeździli, a to do Nairobi w Kenii, a to do Norymbergi. Niektórzy odzyskiwali **teżyznę** nad Morzem Martwym, inni zapuszczali się w rejon morza Marmara. Ja zaś dawałem upust swemu pracoholizmowi i z rzadka tylko, umazany **szerniałym** kurzem niczym Siuda Baba, wynurzałem się spomiędzy oprawionych w półskórek ksiąg. Aż tu z nagłą mój boss wychrypiał: - „Hola, hola, koleżko! Bierz urlop, zanim cię tu zeżrą **mrzyki** i mole, jedź do Jastarni i poużywaj sobie życia w hotelu „Kaszmir”. Nie **każżeż** się prosić!”. Mając się z pyszna, wskoczyłem do **rzęzacego** peugeota i w żarze słońca bez klimatyzacji ruszyłem w kierunku półwyspu Hel. Mniej więcej w pół drogi, w okolicach Rzgowa, dopadł mnie pech – ponaddwumetrowy chełmżanin **zahaczył** motocyklem Yamaha o mój zderzak, łamiąc go wpół.

Z radiowej „Trójki” dowiedziałem się o skażeniu wód Zatoki Puckiej – mekki **kitesurferów**. Ktoś ponoć chciał w ten sposób wykurzyć nudystów z Chałup. Na miejscu zdębiałem. Hotelu „Kaszmir” nie powstydzilby się sam Hitchcock. Na **przedprożu** dwuipółmetrowy wąż boa syczał, zwinięty w kłęb na klombie. Dwie poparzone słońcem pseudo-Indianki w trzciniowych minispódniczkach huśtały się w hamaku, jedząc ekstrapaprykarz z węgorza i sącząc krwiste mojito. Na plaży było nie lepiej. Codziennie tuż o **brzasku** półnaczy macho toczyli bój o każdą piędź piaszczystego przymorza, by tworzyć parawanowe zagrodki dla swej rozkrzyczanej trzódki. Później hurmem nadciągała **hałastra**, tachając megapaki napitków i jadła. W uszy **wrzynał** się wrzask rozwydrzonych brzdąców, którzy **chełpiąc** się haniebnie, obrzucali się półżywym **chełbiami**. Do tego kłótnie i sprzeczki przy akompaniamencie **smutnorzewnego** disco polo. Tego już było za wiele. Ściskając w garści kamyk i muszelkę, oddałem hołd antypodróżniczej filozofii dziadka i zarządziłem odwrót z Mierzei Helskiej, mówiąc do siebie: „Pakuj, stary, swoje łupy i wracaj do żupy”.